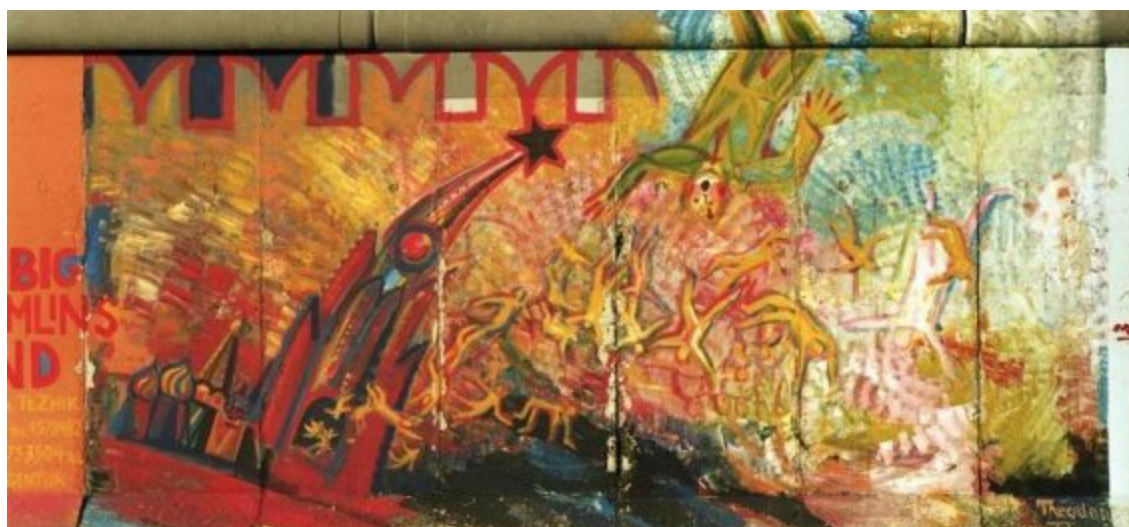


## Bartłomiej Radziejewski: Podnieść porzucone sztandary

Antykomunizm zachowuje jako idea polityczna aktualność dopóty, dopóki „długi cień PRL” spowija naszą rzeczywistość



**Antykomunizm zachowuje jako idea polityczna aktualność dopóty, dopóki „długi cień PRL” spowija naszą rzeczywistość -**  
*Teśkt ukazał się w najnowszym numerze tygodnika internetowego Nowa Konfederacja*

Nie sposób wyobrazić sobie prawicy – w realiach politycznych III RP – bez idei antykomunizmu. To diagnoza o niesprawiedliwości i dysfunkcjonalności stanu niezerwania uwikłań i nierozliczenia zbrodni poprzedniego systemu – oraz obietnica naprawy tej sytuacji – były przez dekady głównymi źródłami siły prawicy. Dodawały jej skrzydeł

pod względem moralnym, gwarantowały posłuch u wielomilionowej rzeszy Polaków konsekwentnie popierających dekomunizację i lustrację, wyraźnie wskazywały wroga i definiowały tożsamość. Rekompensując poniekąd słabość organizacyjną, kapitałową, kadrową.

Polska prawica jest pod wieloma względami inna od zachodniej: nie tak wolnorynkowa, nader często romansująca ze związkami zawodowymi i hasłami socjalnymi, nierzadko bardziej konserwatywna obyczajowo. Antykomunizm – z czasem coraz bardziej antypostkomunizm – ułatwiał zbieranie bardzo różnych chorągwi pod prawicowymi sztandarami. I obok zachowawczości kulturowej był głównym wyznacznikiem prawicowości w polskich realiach po 1989 r.

### **Antykomunizm osierocony**

Dziś jednak idea antykomunistyczna jest polityczną sierotą. Nawet na poziomie haseł obie główne siły centroprawicy, PO i PiS, stopniowo i niepostrzeżenie porzuciły program dekomunizacji i lustracji. Jediną formacją odwołującą się do antykomunistycznej retoryki – choć już głównie w wymiarze symboliczno-historycznym – jest obecnie marginalny (jak na razie przynajmniej) Ruch Narodowy.

Nie zmienia tego obecność krzyżących „Precz z komuną” (pod adresem Donalda Tuska i Bronisława Komorowskiego) na prawicowych wiecach. Ani próby redukcji patologii widocznych w czasach dominacji Platformy Obywatelskiej do rzekomego, zrekonfigurowanego „układu” postkomunistycznego (do usłyszenia np. w kręgach „Gazety

Polskiej”). Wręcz przeciwnie: nic bardziej nie osłabia antykomunizmu niż anachronizm i groteska w roli jego reprezentantów na obrzeżach życia publicznego.

Jak do tego doszło? I jaka przyszłość czeka polską prawicę bez jednego z dwóch najważniejszych wyznaczników jej tożsamości?

W jednym ze swoich wnikliwych esejów Rafał Matyja zauważył, że moment historyczny, w którym można było dokonać realnej dekomunizacji, trwał w istocie bardzo krótko. „Ten okres zawiera się między wiosną 1990 r., kiedy można było inaczej rozstrzygnąć kwestię majątku b. PZPR, a pierwszą połową 1992 r., ze szczególnym uwzględnieniem epoki następującej bezpośrednio po upadku ZSRS. Tylko w tym ostatnim krótkim okresie można było traktować dawną PZPR w sposób dość swobodny”. Zarówno przedtem, jak i potem komuniści-postkomuniści byli bowiem zbyt silni. Z kolei wraz z upływem czasu w charakterystyczne wcześniej dla tej formacji patologie (w tym postnomenklaturowy biznes, klientelizm, związki ze służbami) wsiąkał coraz bardziej element niekomunistyczny (i niepostkomunistyczny) – także postsolidarnościowa prawica.

To wyjaśnia stopniowy spadek – aż po dzisiejszy zanik – antykomunistycznej werwy wśród prawicowej elity. W ostatniej znaczącej próbie przeprowadzenia lustracji z prawdziwego zdarzenia (w latach 2005–2007) pod tymi samymi radykalnymi hasłami widać już było dużo bardziej zniuansowane niż przed laty nastawienie: na pacyfikację części „układu”, po to by zwasalizować resztę. Świadczyły o tym losy ustawy lustracyjnej, z utraceniem przez partyjną „starszyszną” jej radykalnej wersji, popieranej przez młodszych polityków PiS i PO, na

rzecz łagodniejszej, zablokowanej ostatecznie przez Trybunał Konstytucyjny. A także sposób likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych, z ujawnieniem tylko części patologii.

Platforma Obywatelska poszła w tym kierunku znacznie dalej, sięgając szeroko po postkomunistyczne kadry i zarzucając antykomunistyczny program, jeśli nie liczyć symbolicznego obniżenia emerytur byłym funkcjonariuszom służb specjalnych PRL (i to z pominięciem ważniejszej „frakcji” wojskowej).

### **„Gdy dzieci śpią”**

Gęstniejący splot interesów postkomunistów i postsolidarnościowców, radykalne osłabienie polityczne postkomunistów po aferze Rywina, wreszcie: spadek zainteresowania wyborców tematem – zdecydowały o zaniku antykomunizmu i w PO, i w PiS. Czołowi prawicowi intelektualiści-dekomunizatorzy niepostrzeżenie przestali głosić powtarzane przez wiele lat diagnozy i postulaty. Gdy jeden z nich, prof. Andrzej Zybertowicz, otwarcie zaproponował porzucenie antykomunistycznej agendy, nie odbiło się to większym echem ani nie wywołało debaty.

Tak więc i w tym przypadku, jak to zwykle we współczesnej Polsce bywa, kluczowym zmianom nie towarzyszy ani szersza dyskusja, ani nawet głębsza refleksja w węższych, elitarnych kręgach. Każę to – gdy chodzi o antykomunizm – włączyć w elementarną prawicową samowiedzę. Ale również tworzy wygodną sytuację dla polityków z tej strony sceny partyjnej.

Jeśli bowiem, np., SLD znów zyska na znaczeniu, Jarosław Kaczyński będzie mógł swobodnie wrócić do antykomunistycznej retoryki (li tylko, rzecz jasna) bez obaw o zarzuty utraty wiarygodności w tej kwestii. Jeśli natomiast postkomuniści będą potrzebni jako taktyczni sojusznicy – w mediach publicznych, spółkach państwowych, w Sejmie – to i ta opcja będzie dostępna. Zaprzyjaźnieni publicyści z pewnością znajdą sposób na uzasadnienie każdego z tych wyborów, dając go zdeorientowanym wyborcom jako dobrą monetę.

Aksjologiczna spójność, wiarygodność i konsekwencja jest rzeczą, która z natury bardziej leży na sercu intelektualistom niż politykom. W dobrze zorganizowanych społeczeństwach rolą klerków jest jej pilnowanie i wymuszanie na praktykach. Polscy intelektualiści prawnicy tu zawodzą, nie po raz pierwszy zresztą.

### **Smoleńsk zamiast okrągłego stołu?**

Z punktu widzenia PiS pustkę po antykomunizmie wygodnie wypełnił natomiast Smoleńsk. Potężny ładunek symboliczny wydarzenia nadał się jako substytut zużytego już okrągłego stołu. Niejasność okoliczności katastrofy i ewidentne błędy obozu rządowego w połączeniu z nachalnością maskującej je propagandy sprzyjały analogicznym jak wobec uczestników rozmów w Magdalence oskarżeniom o zмовę elit i podwójną lojalność. W efekcie nośnym substytutem porzuconego antykomunizmu okazał się postulat wyjaśnienia katastrofy i rozliczenia winnych.

Oczywiście, są to postulaty słuszne. Jednak zarazem powyższy proces prawicowej metamorfozy ma przynajmniej dwa negatywne skutki. Po pierwsze, w emocjonalnej, partyjnej retoryce umyka najistotniejszy aspekt smoleńskiej tragedii: katastrofalna słabość instytucjonalna, proceduralna i kadrowa państwa. Niezależnie od tego, czy wierzy się w zamach, czy w wypadek, czy też w inną hipotezę – nietrudno zauważyć, że bez tej słabości w każdym możliwym scenariuszu katastrofa byłaby wielokrotnie mniej prawdopodobna, podobnie jak fatalny przebieg śledztwa w jej sprawie. Ten problem umyka uwadze, gdy sprawę sprowadza się do zdrady lub głupoty polityków PO.

Nic bardziej nie osłabia antykomunizmu niż anachronizm i groteska w roli jego reprezentantów na obrzeżach życia publicznego

Po drugie, fundamentalne znaczenie Smoleńska samo w sobie w niczym nie umniejsza – w kategoriach bezwzględnych – roli postkomunistycznych patologii.

### **Postkomunizm wciąż żywy**

Wspomniany już prof. Zybertowicz zastosował do oceny uwikłań części elit III RP w PRL kategorię strukturalnego konfliktu interesów. To sytuacja, w której członkowie organizacji znajdujący się w sytuacji co najmniej podwójnej lojalności wywierają, dzięki swojej liczebności lub umiejscowieniu w hierarchii, trwały wpływ powodujący, że organizacja funkcjonuje w sposób różny od jej oficjalnej misji – a więc patologiczny.

W przypadku państwa polskiego dotyczy to – jak wykazał Zybertowicz – strategicznych dla niego instytucji: rządu, parlamentu, tajnych służb, prokuratury, policji, sądownictwa, mediów publicznych. Ze względu na uwikłanie ich członków w zależności PRL-owskie, często silniejsze od formalno-służbowych. W tym świetle należy widzieć niezdolność państwa do realizacji kluczowych reform zgodnych z jego oficjalną misją, jak lustracji (agenturalna przeszłość wielu posłów czy sędziów) czy reprivatyzacji (brak zainteresowania polityków postkomunistycznych „pełnym” kapitalizmem, wbrew deklaracjom). Stąd teza Zybertowicza o strukturalnym konflikcie interesów jako fundamencie III RP.

Jeśli uznać trafność tej diagnozy, to stanie się oczywiste, że problemu podwójnej lojalności części elit w żaden sposób nie znosi ani historyczna klęska polskiego antykomunizmu, ani pojawienie się problemu Smoleńska, ani tym bardziej porzucenie przez prawicę dekomunizacji i lustracji. Nie znosi go też wspomniane splecenie interesów postkomunistycznych i postsolidarnościowych.

Biznesmen lojalny wobec kliki, dzięki której zdobył „pierwszy milion”, czy pracownik MSZ, na którego „jestteczka” zagranicą, pozostaną obiektywnymi problemami dla Polski, dopóki upływ czasu nie doprowadzi do ich zastąpienia przez ludzi niewikłanych. A to potrwa jeszcze wiele lat.

**Konieczne uzupełnienie**

Natomiast problem niemożności rozdzielenia interesów postkomunistycznych od niepostkomunistycznych blednie, jeśli uwzględnić diagnozę o neokolonizacji Polski po 1989 r. Mówi ona, że nasz kraj stał się obiektem politycznie planowanej i sterowanej inwazji zachodniego kapitału. W efekcie III RP została w newralgicznych dla długofalowego rozwoju obszarach – takich jak bankowość, finanse i przemysł – zdominowana kapitałowo. I skierowana na ścieżkę „rozwoju zależnego” oznaczającego w międzynarodowym podziale pracy funkcję rynku zbytu, ale nie producenta, stały drenaż zysków przez zewnętrzne podmioty, wysoki stopień zależności od koniunktury w krajach hegemonicznych. Nie oznacza to tylko peryferyjności gospodarczej, bo – jak wykazał Immanuel Wallerstein – ta ostatnia z zasady idzie w parze ze słabością polityczną. W sprawie szczegółów muszę tu odesłać do innego tekstu.

Zatem nie tylko w PRL i w stosunku do komunistów i postkomunistów, lecz także w III RP, i wobec elit większości głównych opcji politycznych, mamy problem elit kompradorskich (to jest współdziałających dla własnej korzyści z zewnętrznymi podmiotami, ze szkodą dla interesu publicznego), uwikłanych w strukturalny konflikt interesów.

Mówiąc to, nie chcę lekceważyć różnic między kolonizacją sowiecką a zachodnią neokolonizacją. Są one zasadnicze, to jednak temat na osobny wywód. I nie może przesłaniać kluczowego podobieństwa: problemu podwójnej lojalności. Czy bowiem ktoś rzeczywiście jest gotów utrzymywać, że stary postkomunistyczny propagandzista, perorujący o „barbarzyństwie” lustracji, jest mniej szkodliwy dla Polski niż młody finansista (którego kariera zależała i zależy od dominujących

nad Wisłą zachodnich grup kapitałowych), agitujący za zbawiennym wpływem OFE czy szybkiego wejścia do strefy euro, choć doskonale wie, że ewentualni beneficjenci takich decyzji będą zagranicą?

Konkludując: antykomunizm zachowuje jako idea polityczna aktualność dopóty, dopóki „długi cień PRL” (by przywołać określenie Bronisława Wildsteina) spowija naszą rzeczywistość. Czyli jeszcze przez wiele lat. Jeśli jednak ma zachować żywotność – i pozostać elementem myślenia dążącego do ogarnięcia całokształtu polskich problemów – musi zostać uzupełniony o antykolonializm.

*Bartłomiej Radziejewski*

*Tekst ukazał się w najnowszym numerze tygodnika internetowego  
Nowa Konfederacja*